

# Janusz Sławiński

---

## Historia "Tekstów" (krótki kurs) : odcinek pierwszy

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (60), 1-10

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań  
Literackich PAN  
dwumiesięcznik 6(60), 1981

# teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA

## Historia „Tekstów” (krótki kurs). Odcinek pierwszy

*Trzymasz oto w ręku Łaskawy Czytelniku ostatni zeszyt dziesiątego rocznika «Tekstów» — i nie robi to na Tobie żadnego wrażenia. Tak właśnie powinno być: cóż w tym osobliwego, że wychodzi jakieś pismo? Nic bardziej normalnego w świecie. Wszystko, co istnieje czas jakiś — staje się naturalne i zwykłe. Przyzwyczałeś się do «Tekstów», a «Teksty» przyzwyczały się do Ciebie. Zauważ jednak, że oswajamy się nie tylko z rzeczami istniejącymi. Wszak naturalność przysługuje w równym stopniu nieskończonej ilości rzeczy nieistniejących. Ich nie-bycie wcale nas nie wzrusza — skądże znowu. Czy dziesięć lat temu (piszę to w lipcu 1981 r.) ktokolwiek zwróciłby uwagę na nieistnienie «Tekstów»? Nad tym brakiem każdy przechodził do porządku z zupełną obojętnością. Wszyscy żyli się z nim jak z powietrzem. Czyli mniej więcej tak samo jak obecnie z «Tekstami» istniejącymi. Gdy pojawiły się — powstała nienaturalna wyrwa w dotychczasowym niebycie; gdyby teraz z jakichś powodów przestały się ukazywać, powstałaby zapewne wyrwa równie nienaturalna — w pozytywności bytu. Mówiąc najkrócej: historia «Tekstów» to ich stopniowe przechodzenie z naturalności nieistnienia w naturalność istnienia.*

*Myliłby się ten, kto by sądził, że nieistnienie jest stanem całkowicie jednorodnym i nieruchomym. I ono przecież ma swoje zgęszczenia, rozrzedzenia, pulsowania, falowania, słowem: odznacza się jakimś zróżnicowaniem i wielokształtnością. Odwieczne nie-bycie*

«Tekstów» dość wyraźnie popadowało się w 1971 r., kiedy w IBL-u powstały pierwsze projekty przedsięwzięcia, które owemu nie-byciu miało zaprzeczyć właśnie jako nie-byciu. To zresztą za wiele powiedziane: projekty. Zrazu były to niezdecydowane zachcenia. Jedni mówili o potrzebie nowego pisma, które byłoby poświęcone badaniom nad literacką współczesnością; inni o poważnym periodyku, w którym mogłyby się toczyć nieprzerwane «spory metodologiczne»; jeszcze inni mieli na uwadze coś w rodzaju magazynu przynoszącego wieści o nowych trendach i odkryciach dzisiejszego literaturoznawstwa. Na dobrą sprawę mało kto wierzył, że coś z takich zachceń może wyniknąć, toteż traktowaliśmy je trochę na pół serio. Powołanie do życia nowego czasopisma wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Już sama świadomość, że wymaga to zgody i poparcie sześciu — jak obliczyliśmy — rozmaitych instancyj, wystarczała, by całą sprawę uznać za czysto teoretyczną. IBL miał dość paskudną opinię zarówno w urzędach Akademii, jak i poza nią. Prędzej szykan i dyskryminacyj mógł się spodziewać niż przyzwoleń i przywilejów.

A jednak! Ze wszystko nie skończyło się na luźnych pomysłach i niekonkluzywnych pogwarkach — zdecydowały przebiegłość i stanowczość Zbigniewa Golińskiego, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności pełnił wtedy obowiązki dyrektora IBL-u. W ciągu krótkiego czasu ich pełnienia (a i przedtem, jako wicedyrektor — jeszcze za panowania Kazimierza Wyki) ten energiczny, niezależny, uparty i porywczy człowiek zdołał zrobić dla Instytutu wiele dobrego. Stymulował i wspierał usilnie nowe przedsięwzięcia: potrafił wytworzyć klimat sprzyjający rodzeniu się pomysłów i inicjatyw. Miałem okazję przyglądać się z bliska jego poczynaniom (wiele się przy tym nauczyłem) i nieodmiennie uderzało mnie, że ilekroć mógł opowiedzieć się bądź za podjęciem jakiegoś działania, bądź za zaniechaniem czy odwołaniem — wybierał całkiem spontanicznie drogę bezzwłocznego działania. Niezwyczajna to u nas skłonność... Gdy chciało się coś sensownego zrobić, można było liczyć na jego czynne poparcie. On sam wszakże nie mógł liczyć na żadne poparcie — zwierzchności. Raczej przeciwnie. To wszystko, co czyniło z niego świetnego kierownika Instytutu, a więc wola działania, wyobraźnia organizatorska, zdolność szybkiej decyzji, niepowolność wobec nacisków, despotyzm skojarzony z upodobaniami demokratycznymi — przemawiało zdecydowanie przeciwko niemu w oczach zawiadow-

ców, opiekunów, nadzorców i inspektorów życia naukowego. Zupełnie nie pasował do gorliwie przez nich wznoszonego i pieczołowicie konserwowanego modelu: serwilistyczno-czynowniczo-marazmatyczno-politykiersko-karierowiczowskiego. Nie należał do swojaków. Jakże takiemu zaufać? Ostatecznie po to byli różni panowie JM, JK, MW i legion im podobnych, by uniemożliwić dostęp do kierowania czymkolwiek ludziom, którzy umieją to robić, a więc eo ipso niewłaściwym. Toteż dyrektorowanie Golińskiego było przez władze administracyjne i partyjne Akademii traktowane jako chwilowa niestosowność, której trzeba szybko zaradzić. Jak w ogóle mogło do niej dojść?

Otóż w 1970 r. — jesienią — odsunięto ze stanowiska dyrektora Kazimierza Wykę; przez kilka miesięcy zajmował je krakowski językoznawca Stanisław Urbańczyk, jeden z dotychczasowych wicedyrektorów; po jego wycofaniu się w połowie następnego roku — powstała konieczność pilnego znalezienia osoby wystarczająco dobrze widzianej u dworu, która mogłaby wreszcie poprowadzić Instytut po dobrej drodze i we właściwym kierunku. Urzędy Akademii przystąpiły zatem do poszukiwań. Póki co jednak należało wyznaczyć kogoś, kto w króciutkim — jak zakładano — okresie bezkrólewia pottrzymałby ster nawy instytutowej. Tu właściwie wybór odpowiedniego kandydata znajdował się poza dyskusją: Goliński był przez szereg lat prawą ręką Wyki i nikt tak jak on nie znał się na Instytucie. Wprawdzie swojacy z Akademii szczerze go nie znosili, ale uznali widać, że przez parę tygodni nie da rady sprawić im większego kłopotu. Mogli natomiast mieć gwarancję, że poszukiwanemu właśnie dyrektorowi przekaże Instytut w stanie pełnej używalności. Druga kalkulacja była trafna, natomiast pierwsza nie bardzo. Okazało się bowiem, że czas poszukiwań nieoczekiwanie się wydłuża. Dyrektora wcale niełatwo było znaleźć, mimo że polowano nań po całej Polsce. Kandydat powinien spełniać dwa warunki. Po pierwsze, nie mógł to być ktoś z dotychczasowego iblowskiego personelu — przeżartego trądem niestusznosci totalnej. To zrozumiałe. Miał przyjsć z zewnątrz jako ozdrowiciel i odnowiciel, który sprawi, że źle (i coraz gorzej) widziana instytucja przemieni się z czasem w dobrze widzianą. Po wtóre, było pożądané, by ów sanator nie pozostawał dotąd z IBL-em w zażytych relacjach. Zdeklarowani wrogowie IBL-u raczej nie wchodzili w rachubę; szło o człowieka możliwie mało znającego środowisko iblowskie i mało w nim

znanego. Tylko taki bowiem, pozbawiony środowiskowego zakorzenienia, nie zorientowany w nastawieniach społeczności pracowniczej, którą przyszło mu rządzić, nie mający wobec niej zobowiązań — mógł być w zadowalającym stopniu posłuszny życzeniom władzy mianującej. Ta chciała usadowić w IBL-u dyrektora «przyniesionego w teczce», mającego jedyne oparcie w zwierzchności, jednostronnie uzależnionego, a więc skazanego niejako na gorliwe wykonywanie zleceń — wtedy nawet, gdy nie byłyby zgodne z interesami kierowanej przezeń instytucji lub pracowników tejże. Do dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego tak trudno było znaleźć stosownego kandydata. Ktoś nawet się zgodził, rezygnując potem w ostatniej chwili (nominację bodaj już odebrał). Dopiero po upływie półtora roku odkryto wreszcie na Lubelszczyźnie odpowiednią osobę... Im bardziej przedłużały się poszukiwania, tym głębsza okazywała się sytuacja poszukujących. Ich wysiłek wydawał się zupełnie absurdalny (choć takim w istocie nie był). Dające się ujawnić powody nie mogły go w żadnym stopniu tłumaczyć: wszak z biegiem miesięcy stawało się coraz bardziej jasne, że Instytut nie potrzebuje żadnego nowego dyrektora, ponieważ ów tymczasowy jest dyrektorem z najprawdziwszego zdarzenia. Co, oczywiście, ściągało na niego coraz większą niechęć władz zwierzchnich, które zaangażowały swój autorytet w to, by jak najspieszniej wyłączyć go z gry. Był przez półtora roku niezyczliwie tolerowany — tyle można najkrócej powiedzieć o stosunku doń ludzi, którym urzędowo podlegał. Wraz ze wszystkimi konsekwencjami takiego stosunku, jako to: piętrzenie utrudnień w codziennych działaniach, próby ustawicznego wtrącania się w życie wewnątrzinstytutowe, drastyczne ograniczenia świadczeń, wytwarzanie wokół Instytutu możliwie najgorszej atmosfery. W tych nieprzyjaznych i deprymujących okolicznościach Golińskiemu udało się przecież przepchnąć parę spraw na pozór beznadziejnych. Między innymi «Teksty».

W późniejszym czasie z pewnością by już nie powstały. Może dopiero po Sierpniu 1980, ale komu by się chciało wtedy robić «Teksty», gdy tyle ważniejszych rzeczy czekało na zrobienie! Więc też by nie powstały. Czyli nigdy. Bo przed ich powstaniem również by nie powstały. Jak z tego widać, mogły powstać tylko wtedy, kiedy powstały. Półtoraroczny okres »przejściowy« w dziejach IBL-u dał im niepowtarzalną szansę przebicia się z nieistnienia w istnienie. Początkiem życia jest zawsze jakieś przypadkowe i chwilowe zsu-

mowanie się różnych drobnych usterek w działaniu mechanizmu (przyrodniczego czy społecznego), który w swoim normalnym funkcjonowaniu wyklucza możliwość życia. Tak było i tu. Ktoś czegoś należycie nie dopatrywał (najlepszy strażnik niekiedy zaśpi), ktoś się z kimś na czas nie porozumiał, ktoś nie zgłosił wyraźnego weta, a ktoś inny, spostrzegawczy i umiejący w lot chwycić okazję, zdołał zauważyć i połączyć wszystkie te niedokładności — i tak w niezachęcającym skądinąd «bulionie pierwotnym» pojawiły się zawiązki życia naszego pisemka.

Była wtedy (jesteśmy ciągle w połowie 1971 r.) w Akademii dobra koniunktura dla komitetów naukowych. Miały stać się prawdziwymi (kolektywnymi) mózгами samorządnie — jak byśmy dziś powiedzieli — decydującymi o losach poszczególnych dyscyplin: o ich zadaniach, planach, formach pracy, obsłudze wydawniczej, polityce kadrowej. Dostojnicy od nauki zapowiadali przyznanie tym wyselekcjonowanemu zespołom złożonym w każdym wypadku z najcięższych umysłów w danej dziedzinie wiedzy — znacznych prerogatyw i dość rozległej sfery swobodnego działania. Utwory poezji urzędowej, jakie na ten temat pisywał Jan Kaczmarek (sekretarz Akademii, a nie satyryk o tym nazwisku), stanowią jeden z doskonałych przykładów owego przenikniętego energicznym optymizmem stylu menadżerskiego, który był charakterystyczny dla początków dekady gierkowskiej. Niewiele czasu było trzeba, by się okazało, że komitety nie mają ani prerogatyw, ani samodzielności, ani pola działania. A i umysły najcięższe też tam na ogół nie dominowały; zatroszczono się, by zrównoważyć je ludźmi miernymi i bez dorobku, ale za to dobrze widzianymi przez różne aparaty. Faktycznie nic od tych ciał nie zależało; nikomu też na nich nie zależało. Były po prostu jedną z dekoracji rozstawionych w świecie biurokratycznej uludy, elementem potiomkinowskiej pseudorealności — jak wiele innych tego rodzaju instytucyj. Ale początkowo na fali retorycznej łaskawości dla komitetów można było to i owo załatwić. I stąd idejka — poniekąd wymuszona sytuacją — by błąkające się po IBL-u zachcenia czasopiśmiennicze «podwiązać» do Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej, którego poparcie mogło mieć znaczenie, ponieważ jego zdrowy trzon tworzyły osoby cieszące się zaufaniem czynników decydujących. Tak się też stało. Samemu IBL-owi nie pozwolono by założyć pisma — za poważna to sprawa, aby powierzać ją środowisku tak niepewnemu; a wspólnie z Komitetem

pozwolono: ta firma dawała — widać — gwarancję, że cała impreza będzie poważna, słuszna i «niekontrowersyjna».

Jeśli dobrze pamiętam, nie było żadnych kłótni związanych ze składem redakcji. Z IBL-u weszli do niej Treugutt — wicedyrektor (zauważam, że w tej opowieści ciągle pojawia się jakiś wicedyrektor...) oraz niżej podpisany; spoza IBL-u — jego niezawodni sojusznicy: Błoński i Balcerzan; a także — jako specjalny delegat Komitetu p.AL. Obecność tego ostatniego nie wróżyła naszemu przedsięwzięciu pomyślnej przyszłości — to trzeba bez ogródek powiedzieć. Opatrzność jednak czuwała, mając na względzie dobro sprawy: wycofał się już po zatwierdzeniu składu redakcji. Wystarczyła czyjaś grzecznie wyrażona wątpliwość, że może w zbyt wielu kolegiach redakcyjnych równocześnie zasiada. Wątpliwość uzasadniona, gdyż należał do elitarnej ekipy redaktorów-niezbędników, obsadzających wszelkie możliwe redakcje, które dzięki temu stawały się po prostu wariantami jednej wielkiej superredakcji.

Nikt z nas nie miał wątpliwości, że szefować powinien Błoński: człowiek powszechnie znany, Europejczyk, ale i w rodzimym wrośnięty, krytyk najlepszy w swojej generacji — przez pisarzy ceniony i przez profesorów, antydoktryner otwarty na poglądy wielorakie, który w cudzym myśleniu i pisaniu wyżej ceni poziom niżli zgodność z tym, co sam skłonny byłby mniemać. A przy tym mający pewne — miarkowane poczuciem humoru — upodobanie do godności, stanowisk i tytułów, co stanowi konieczny składnik wyposażenia duchowego osoby kierowniczej. Moje o Błońskim sądy już kiedyś wystawiłem na tym samym miejscu, i nie chciałbym się powtarzać.

Balcerzan wnosił do naszych poczynań rygor poety i fantazję teoretyka literatury. Strukturalista, semiotyk, przekładoznawca, liryk lingwistyczny, narrator realistyczny — miał z nas bodaj najwyraźniej określone przekonanie, czym powinno być zakładane pismo: organem polskich strukturalistów łączących się ze strukturalistami wszystkich krajów w walce z genetykami (bosymi). Jest naturą wyjątkowo konstruktywną, toteż gdy jego strukturalistyczny zapał nie spotykał się (u Błońskiego zwłaszcza) z należytyim zrozumieniem — zawsze umiał znaleźć taką formułę własnych propozycji, żeby mogła zamykać w sobie zastrzeżenia oponentów. Inwencja programotwórcza Balcerzana nie wysycha nawet w najbardziej upalne dni; a jako wymyślnic tytułów cudzych tekstów nie ma

sobie równych. Jeśli dodać do tego jego umiejętność pracowania w zespole, akuratność i punktualność — będziemy mieli obraz redaktora o doskonałości niemal nierzeczywistej.

Przy najlepszych chęciach nie można by w ramy takiego obrazu wprawić — Treugutta. Potrafi jak z rękawa sypać conceptami, całkiem nieraz fantastycznymi, czemu wszakże nie towarzyszy zbyt silna wola działań wykonawczych. Ma za dużo pomysłów, żeby do któregoś przywiązać się naprawdę. Oczekiwać, że będzie wierny jakiejś idei czy planowi — można tylko raz, kiedy go się jeszcze nie poznało. Jeśli Błoński należy do ludzi kroju raczej zachodniego, to duchowość Treugutta bardziej ku wschodowi ciąży. Nie ceni on osobiście terminowości ani organizacji pracy (są to okcydentalne bziki), skłonny jest wierzyć, że co się ma stać, to i tak się stanie — niezależnie od stopnia naszej gorliwości w działaniu: czy więc nie rozumniej zaniechać daremnych wysiłków? Wyznawanie takiego systemu wartości tylko w niewielkim stopniu sprzyja redagowaniu pisma — robocie wymagającej jednak pewnej systematyczności. Na szczęście jednak nie musiał być redaktorem w pojedynkę. A w zespole miał swoją rolę do odegrania: jako wytwórnia podniet dla innych. Jego żywa inteligencja bez ustanku — i w nadmiarze — produkująca najzrozmaitsze skojarzenia przysłużyła nam się nieraz, gdy próbowaliśmy coś zaplanować, uzasadnić lub odepchnąć. Zwłaszcza w pierwszym okresie, gdy prawdziwie nas bawiło przeczucie się koncepcjami pisma — jeszcze drzemiącego w niebycie.

O sobie nic sensownego powiedzieć nie potrafię, bom sam dla siebie wciąż zagadką.

W takiej więc grupce rozpoczęliśmy pracę — zrazu wyłącznie programotwórczą. Jak już wspomniałem, tylko Balcerzan reprezentował wyraźniejszą ideę kierunkową. Pozostali raczej ku eklektyzmowi ciążyli: nie pragnęli oddawać pisma w służbę jakiemuś jednemu stylowi myślenia, jednej szkole czy jednej problematyce. Wcale zresztą nie jest powiedziane, że wyłącznie ludzie ideowi powinni zakładać i redagować czasopisma. Być może najlepsza jest kombinacja ideowych z bezideowymi.

Należałoby przy sposobności rozproszyć pewne nieporozumienie, jeśli w ogóle rozpraszanie nieporozumień nie jest najlepszym sposobem ich potęgowania. Otóż bez wyraźnego powodu uważano «Teksty» od samego początku, tzn. od ich nieistnienia, za organ semiotyczny. Większość naszych czytelników dość szybko porzuciła błęd-



na kwalifikację, jednakże byli i tacy, którzy przez dłuższy czas podtrzymywali w sobie to mniemanie — mimo że stan faktyczny przeczył mu na każdym kroku. Nie wykluczone, że byli to czytelnicy całkiem platoniczni. Oczywiście zajmowaliśmy się nieraz semiotyką, tak jak wieloma innymi sprawami żywymi w dzisiejszej humanistyce. Fakt, że przeznaczaliśmy wiele miejsca na interpretację twórczości Gombrowicza, nie czyni przecież z «Tekstów» organu gombrowiczołogów. Tak samo żadnemu z uczestników orgii Heideggerowskiej, jaka się przewaliła przez «Teksty», nie przyszłoby do głowy uznawać to pismo za organ programowy heideggeryzmu. Semiotykę otaczał u nas bezgraniczną miłością jedynie Balcerzan. Czyżby to on właśnie zdołał tak decydująco zaważyć na pierwotnej opinii wokół «Tekstów»? Sam byłem kiedyś członkiem Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, jednakże w związku z docelowym oszczędzaniem na rower musiałem zaprzestać płacenia składek, ponieważ obie te pozycje naraz nie mieściły się w moim budżecie — i tak trochę lekkomyślnie pozbawiłem się szansy zostania prawdziwym semiologiem. Zostałem natomiast cyklistą. Cóż mówić o Błońskim czy Treugutcie? Spróbujcie wyobrazić sobie ich nazwiska w funkcji podmiotów zdań w rodzaju: «T. należy bezspornie do czołówki polskich semiotyków», «B. napisał studium, w którym podstawy semiotyki zostały wreszcie usystematyzowane» — a poczucie dziwności istnienia, którym zostaniecie wtedy owładnięci, uprzytomni wam, jak naprawdę mają się do semiotyki obaj wymienieni. Żeby już całkiem rzecz dopowiedzieć. Obmyślając i omawiając przyszłe pismo w ogóle staraliśmy się w możliwie najmniejszym stopniu określać je w kategoriach merytorycznych: że niby miałoby być na stałe poświęcone temu lub owemu zakresowi zagadnień czy tematów. Usiłowaliśmy natomiast charakteryzować je przede wszystkim w kategoriach formalnosytuacyjnych: jakie powinno być i czym się odróżniać w kontekście polskiego czasopiśmiennictwa naukowo-humanistycznego. Była to więc charakterystyka formułowana głównie per negationem. Nie chcieliśmy zdecydowanie pisma specjalistycznego — to po pierwsze. Co w naszym wypadku oznaczało nie tylko to, że nie będzie ono podporządkowane jakiejś subdyscyplinie literaturoznawczej (np. poetyce czy historii literatury), ale i to, że w ogóle nie będzie przymocowane wyłącznie do literaturoznawstwa. Pragnęliśmy, by było otwarte (lub przynajmniej półotwarte) dla całej humanistyki — bez względu na jej dyscyplinowe zróżnicowanie.

Z tym oczywiście musieliśmy być ostrożni, ponieważ patronowały nam instytucje literaturoznawcze, które — jako takie — nie miały żadnego interesu w uprawianiu dobroczynności na rzecz innych branż. Wyobrażaliśmy sobie następnie, że w projektowanym piśmie nie będzie poparcia dla standardowych gatunków wypowiedzi nauko-wohumanistycznej — w szczególności dla tzw. rozpraw, czyli inaczey kobył. Faworyzowane miały być teksty krótkie, wyraziście sformułowane — tezowe, albo też, przeciwnie, teksty o charakterze eseistycznym, nawet jeśli naznaczone byłyby pewną dziwacznością na tle zwyczajów dzisiejszej prozy naukowej. Interesowały nas wypowiedzi fragmentaryczne, niedomknięte, brulionowe, konspektywowe, nieudane z retorycznego punktu widzenia — za to wprowadzające w sam proces rodzenia się problemów i koncepcyj badawczych. Odchylone od norm dyskursu nauki instytucjonalnej, ale dzięki temu zdolne wywoływać dyskusyjne zamieszania. I wreszcie — po trzecie — szło nam o pismo w całym tego słowa sensie krytyczne, tzn. metodycznie zdystansowane wobec wszystkiego, co mogło znaleźć się w polu jego zainteresowań. Uważaliśmy, że powinno prowadzić grę przeciw wszelkim odmianom nabożnego czy dogmatycznego traktowania metod, teoryj i terminologii. I uczyć luźnego do nich stosunku. Być otwarte na metodologiczne nowinki, a nawet na ekstrawagancje uczonego dowcipu dzisiejszych filologów i filozofów, ale nie wstydzic się używania języków archaicznych, gdy pozwalają oddać sprawiedliwość czemuś, co dziś niestłusznie zaniedbane lub zapomniane. Popierać mody, ale również tych, którzy wujują z ich tyranią. Szanować scjentystów, przyznając jednakże pełne prawo głosu także tym, którzy język humanistyki umieszczają w pobliżu literatury pięknej lub filozofii poetyckiej. Ogólnie zaś: nie skrywać, że praca badawcza humanisty ma w sobie pierwiastki ludyczne — i że mogą one wysuwać się w niej nawet na plan eksponowany. Wszystko razem z trudem dawało się wyobrazić, gdyż w naszych kalkulacjach usiłowaliśmy pojednać zbyt wiele sprzecznych wzajem imperatywów. Jedno nie ulegało kwestii: obmyślane pismo nie całkiem mieściło się w klasie periodyków uchodzących za p o w a ż n e.

Ale jakiegokolwiek miałoby być — musiało przecież mieć imię własne. To był prawdziwy kłopot: nie potrafiliśmy znaleźć dla niego żadnej jako tako brzmiącej nazwy. Nic nam nie pasowało. Na myśl przychodziły albo nazwy pretensjonalne, albo dawno już w podobnych

celach wykorzystane. Raz tylko zabłysło coś godnego uwagi: »Szkielecko i Oko«. Czy można jednak liczyć na to, że pod skrzydłami Akademii będzie się ukazywać pismo o takim tytule? Brak nazwy utrudniał i nam porozumiewanie się między sobą: jak w ogóle mówić o czymś, co nie ma nazwy? Chyba tylko w ten sposób, że palcem wskazywać się będzie za każdym razem obiekt jej pozbawiony. Tu jednak obiekt nie istniał... Dla ułatwienia komunikacji zaproponowałem kolegom tymczasową nazwę na użytek ściśle wewnętrzny — «Teksty», którą potem, gdy przyjdzie co do czego, mieliśmy zastąpić tytułem właściwym. Nikomu z nas nie odpowiadała ona w najmniejszym stopniu — i właśnie dlatego pozostała już na zawsze. To świadectwo zawstydzającego braku zdolności tytułotwórczej nie spotkało się z uznaniem organów zatwierdzających. Czasopisma Akademii powinny mieć w swoich tytułach słowa godne, a wśród nich trzy są najgodniejsze: «studia», «problemy», «zagadnienia». Powstały więc wątpliwości. Zaproponowano nam, byśmy przedstawili co najmniej dwa tytuły do wyboru. W zapasie mieliśmy tylko «Szkielecko i Oko». Wtedy bez dalszych komentarzy zatwierdzono «Teksty».

A oto bilans paru miesięcy (doszliśmy do września 1971 r.): czterech redaktorów, nie-merytoryczny program, nijaki tytuł pisma. Wcale to nie mało. Dalszą robotę trudno było ciągnąć bez dobrego (koniec odcinka pierwszego)

Janusz Sławiński